

Krzyk zwycięstwa

Do Infearnite powędrowała nagroda główna w postaci 2500 zł oraz sesji nagraniowej. Drugie miejsce zajęła warszawska grupa My Own Wasteland (nagroda - 1000 zł), a trzecie - Carol Markovsky z Makowa Mazowieckiego (500 zł).

Podczas finału festiwalu w Łódzkim Domu Kultury 12 kwietnia wystąpiły zespoły, które zostały wyłonione w lokalnych eliminacjach w Radomsku, Wieluniu, Bełchatowie, Skierniewicach, Kutnie i Łodzi. Poza zwycięzcami na scenie pojawiły się także Atme z Wrocławia, Bruklin i Konkubent z Łodzi oraz Vestige z Lublina. Jury przewodniczył Piotr Metz, dziennikarz muzyczny i prezenter Programu Trzeciego Polskiego Radia.

- Nie lubię konkursów, bo muzyka to nie zawody sportowe - zaczął Piotr Metz, ogłaszając werdykt jury. Rzeczywiście w tej dziedzinie trudno ocenić obiektywnie, kto był lepszy, kto gorszy. Można brać pod uwagę poziom muzycznego zaawansowania, instrumentalną wirtuozerię, pomysłowość aranżacji, sprawność wykonania, charyzmę wokalisty, ale i tak ostateczny werdykt będzie wypadkową subiektywnych wrażeń, jakie wykonawcy wywarli na członkach jury. Ktoś może dodać: - i tego, który z jurorów ma większą siłę przekonywania. A trzeba było obiektywnie ocenić zawodników, którzy w pewnym sensie startują w różnych konkurencjach, bo tak się złożyło, że każdy wykonawca prezentował (czasem skrajnie) odmienny styl muzyczny.

Trzeba przyznać, że olśnień, odkryć czy szczęk opadających na podłogę nie było. Wygrał zespół, który zrobił najlepsze wrażenie - klasyczna, czysta, choć ekstremalna propozycja. Infearnite to gęste, szybkie, ostre granie z growlującym (śpiewającym trudną, gardłową techniką) wokalistą. Trudna w odbiorze muzyka wymaga technicznej sprawności, zgrania, wykonawczej precyzji i to członkowie Infearnite mieli opanowane. Mimo sypiących się kaskad głośnych dźwięków dało się rozróżnić formę utworów, rytmiczne smaczki, współbrzmienia. Ich prezentacja była klarowna, a o to w tym gatunku niełatwo. Na uznanie zasługuje również wokalista, który po pierwsze nie dał się zagłuszyć ryczącym gitarom i perkusji, a po drugie wytrzymał ten morderczy dla aparatu głosowego wysiłek. To on w znaczącym stopniu kształtował przekaz. Słowem, panowie grają to, co lubią, nie przejmując się popularnością, i robią to dobrze.

Szczerością, swobodą i energią zaimponowało również trio My Own Wasteland poruszające się w klimatach ostrego alternatywnego rocka i nu metalu. To był występ pełen emocji kreowanych głównie przez śpiewającego gitarzystę o ciekawym mocnym głosie i dużych możliwościach wokalnych. Zresztą również żywiołowy basista zupełnie nieźle radził sobie w chórkach, aż szkoda, że nie można było posłuchać go więcej. Najślabzy element koncertu to bębny - proste, siłowe. Wydaje się, że granie w trio wymagałoby większej finezji i myślenia.

Absolutnie niecodzienna propozycja zespołu Carol Markovsky przekonywała muzyczną dojrzałością. Przypomni mi się big beat i folk lat 60. i 70. XX wieku - jak byśmy słyszeli Czerwone Gitary albo Niebiesko-Czarnych, trochę pobrzmiwały też klimaty The Doors. Mocną stroną tego występu były dobre aranżacje, sprawnie odegrany materiał i charyzmatyczny wokalista w hippisowskiej koszuli. Śpiewał czysto, ciekawym mocnym głosem i miałem wrażenie, że nie pokazuje pełni swoich możliwości. Widać było, że granie tego repertuaru, który trąci trochę myszką, sprawia im prawdziwą przyjemność. Cały czas zastanawiałem się, czego ci młodzi ludzie słuchają na co dzień, skoro bawi ich big beat.

Nie przekonał mnie otwierający koncert Atme, wyróżniony przez jury za spójność prezentacji

sceniczej. Indiańsko-szamańskiego anturażu - wokalista malujący się białą farbą, etniczne bębny, pióra i amulety - nie wytrzymała muzyka, słaba aranżacyjnie, nieporadnie zagrana, „cienka” brzmieniowo. Czuło się, że muzykom zależy na zbudowaniu atmosfery, dramaturgii, ale według mnie to się nie udało, bo zaczęli od końca. Podstawą klimatu powinna być muzyka - dobrze skonstruowana struktura utworu, współpracujące ze sobą partie poszczególnych instrumentów, transowy rytm. Tego wszystkiego zabrakło, żeby emocje z ich głów trafiły do słuchaczy. Sytuację pogarszał wokalista, śpiewający z wysiłkiem i często nieczysto. Szamanom nie starczyło autorefleksji i wyobraźni muzycznej - dlatego nie pojawiła się magia.

Scenicznej magii nie udało się wykreować również Konkubentowi, choć z zupełnie innych powodów. Bluesrockowe utwory, zagrane z siłą i precyzją, aranże dopracowane w najdrobniejszych szczegółach, świadomie kształtowane brzmienie, do tego dobry, dynamiczny wokal. To jednak za mało, by przekonać wszystkich członków jury, zrobić na nich wystarczająco dobre wrażenie. Może muzykom zabrakło pokory i potraktowali swój występ jak formalność, może zaważyły nieco pretensjonalne teksty, może mieli słabszy dzień.

Ale i tego poziomu nie osiągnął Bruklin - drugi łódzki zespół w finale Rockowania. Szkoda zupełnie niezłego wokalisty, bo nie dostał wsparcia od kolegów. Proste rockowe piosenki wymagały większego urozmaicenia aranżacyjnego, kombinowania z dźwiękami. A tymczasem gitary łupały akordy, bardzo często niepotrzebnie się dublując. Efekt był mało porywający. Z kolei Vestige przesadził z pomysłami tak jakby muzycy w każdym utworze chcieli zmieścić wszystkie znakomite brzmienia i riffy, które przyszły im do głowy. Zwariowali na punkcie elektronicznych zabawek, które grają za nich. Czasem w tym progrockowym graniu była energia, przestrzeń, ale wszystkie elementy nie składały się w całość spójną aranżacyjnie i dramaturgicznie. Słychać, że szukają różnych rozwiązań, ale nadmiar im zaszkodził - w rezultacie ich kompozycje stanowią tylko zlepek fajnych kawałków, przy których przy okazji blado wypadły wysiłki wokalisty.

To moje wrażenia po wysłuchaniu siedmiu finalistów VI Festiwalu Muzycznego Rockowanie organizowanego przez Łódzki Dom Kultury. Wymienione mankamenty nie przesłaniają jednak prostej radości z tego, że tylu młodym ludziom chce się grać, że mają w sobie energię, talent i siłę, by nad sobą pracować, że mieliśmy ich okazję posłuchać.

Bogdan Sobieszek

Siedmiu wspaniałych

Sto zgłoszeń, czterdzieści siedem zespołów na przesłuchaniach eliminacyjnych w regionie i wreszcie wybór siedmiu zespołów, które wystąpią podczas VI Festiwalu Muzycznego „Rockowanie”. Przed finałem w Łódzkim Domu Kultury zaglądamy za jego kulisy i sprawdzamy samopoczucie tych, którzy doszli tak daleko.

Oto oni: Konkubent, Bruklin, Infearnite, Atme, Vestige, My Own Wasteland i Carol Markovsky. Nastroje? Pozytywne. W grupach Bruklin i Carol Markovsky nawet znakomite. Pierwsi mówią, że dla nich każdy występ jest jednakowo ważny, a to, że dostali się do finału, tylko dodatkowo ich motywuje. Drugim humor poprawiło zwycięstwo w eliminacjach w Kutnie. W Vestige cieszą się, że udało im się dojść do finału, i że będą mieli okazję zagrać w nowym dla nich miejscu. Przy okazji chcą zwiedzić Łódź. Atme są jednocześnie pełni energii i zmęczeni (rozmawiamy tuż po próbie). My Own Wasteland - pewni siebie i ciekawi, co ich czeka. To zespół z doświadczeniem konkursowym.

Członkowie formacji Konkubent dużo ćwiczą i grają koncerty. Są zgraną paczką, a każdy kolejny występ to „miła i fajna przygoda w doborowym towarzystwie”. W Infearnite uważają, że zaszedli daleko, bo do drugiego etapu przystępowali bez większej nadziei. Byli trochę zaskoczeni rezultatem. – Dlatego lekki cykor jest, mimo że jesteśmy „złymi” metalowcami – przyznają. – Jurorzy motywowali też swój wybór tym, że „nie zginiemy w tłumie”. Możliwe, że nie wpisujemy się w Rockowaniowy szablon, który zdążył się uformować przez te wszystkie edycje. Możliwe też, że metalowe kapele hasło „Rockowanie” odstrasza.

Większość finalistów spotka się ze sobą po raz pierwszy. Bruklin i Konkubent znają się, bo są z Łodzi. Vestige miało okazję dzielić scenę z My Own Wasteland. Ten ostatni zespół ze słyszenia kojarzą także członkowie formacji Carol Markovsky. Natomiast w MOW wspominają, że o Carolu Markowskim słyszeli. Niewykluczone, że kiedyś walczyli przeciwko sobie w jakimś przeglądzie. – Bardzo często zdarza się nam konkurować ze znajomymi z innych zespołów, ale zawsze stawiamy na fair play i klaskanie sobie nawzajem! – twierdzą.

Co będzie, jak wygrają? Bruklin stwierdza, że już wygrali, bo mają zespół i robią własną muzykę. – My po prostu gramy rock’n’rolla, najlepszą nagrodą jest radość ludzi, dla których to robimy – mówią. – Po to powstają zespoły. Muzyka to nie sport, żeby się ścigać, kto jest lepszy. Pewne rzeczy da się obiektywnie ocenić, ale jury ma niewdzięczną rolę. Przegląd to okazja do skonfrontowania się z tym, co robią inne składy, ale chyba każdy zespół chce po prostu grać jak najwięcej koncertów dla ludzi, którzy lubią słuchać jego muzyki. A co do sesji nagraniowej, która jest nagrodą w Rockowaniu, największym problemem byłby wybór, co nagrać w pierwszej kolejności.

Vestige w razie czego ma już doświadczenie w studiu i materiał do nagrania. Członkowie Carola Markovsky’ego jadą po wygraną, akurat mają trochę świeżego materiału na sesję. W Atme uważają, że już występ w finale jest osiągnięciem. Dla nich zwycięstwem będzie kolejny słuchacz, który włączy się w ich muzykę. Mają trochę niezarejestrowanego materiału i planują nagrać repertuar akustyczny, więc pomysłów na sesję im nie brak. W Konkubencie czują, że rozwinęli się w ostatnich miesiącach. Planują sesję nagraniową, którą zrealizują bez względu na wynik festiwalu. Panowie z MOW: – Nie da się przewidzieć, czy się wygra i chyba właśnie to jest najfajniejsze: stres, oczekiwanie i jeszcze raz stres. To pozwala nam na 200 procent euforii i daje jeszcze większą przyjemność z ewentualnej wygranej. Setki godzin na próbach i różnych scenach Polski oraz dużo pewności siebie dają nam potencjał do stworzenia superwystępu, a to właśnie jest oceniane przez jury.

Mają nowy materiał z polskimi tekstami. Płyta ma nazywać się „Bawić się Śmiać” i będzie ich pierwszym wydawnictwem po polsku. Członkowie metalowego Infearnite są przekonani, że podczas finału wystąpią jako ciekawostka wieczoru. Jednak zamierzają dać z siebie wszystko, nawet jeśli trochę publiki ucieknie. Twierdzą, że są pracownicy, ale czy gotowi na nagrania – to uznają specjaliści ze studia.

A repertuar na finał? Niektórzy mają już wybrany. Inni grają „gigi”, czyli koncerty, i sprawdzają, jak na nowe utwory reaguje publiczność. Jedni planują podbić jury swoją energią, drudzy dobierają utwory tak, by móc pokazać pełen przekrój repertuaru i zgranie zespołu.

Anna Szumacher